ŁOWIEC POLSKI



Rzeczka Kletyczna na Polesiu. Fot. Włodz. Korsak.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 18 (572). 3 MAJA 1930 R.

Przywiązanie psa a człowieka.

Pies bywa przywiązany, gdy jest nieprzywiązany, a człowiek bywa nieprzywiązany, kiedy jest przywiązany.

Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

ODWOŁANIE UDZIAŁU W WYSTAWIE ŁOWIECKIEJ W LIPSKU.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich podaje do wiadomości ogółu myśliwych w Polsce, że z przyczyn od polskiego świata łowieckiego niezależnych, udział w wystawie łowieckiej w Lipsku odwołuje się.

Powodem niewzięcia udziału w wystawie są pożałowania godne zajścia, które miały miejsce w ostatnich dniach, a mianowicie bojkot wystawy polskiej w Dreźnie, jak również wystawy artystów malarzy polskich w Berlinie i wreszcie wrogie stanowisko, zajęte przez obecny Rząd niemiecki wobec traktatu handlowego polsko-niemieckiego.

W takiej atmosferze wszelka praca na polu nawet tak apolitycznem, jakiem jest łowiectwo, ustaje.

Zarząd Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich

zawiadamia Członków Związku, że dnia 25 maja 1930 roku, o godzinie 11-ej, w siedzibie Związku, w Warszawie, przy ulicy Nowy-Świat 35, odbędzie się Zwyczajne Walne Zgromadzenie z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Wybór Prezydjum.
3. Zatwierdzenie porządku obrad.
4. Odczytanie protokułu poprzedniego Walnego Zgromadzenia.
5. Sprawozdanie z działalności Związku na rok 1929.
6. Rozpatrzenie i zatwierdzenie bilansu rachunku strat i zysków za 1929 rok, sprawozdania Komisji Rewizyjnej, oraz preliminarza budżetowego na rok 1930.
7. Uzupełniający wybór Członków Zarządu.
8. Wybór Komisji Rewizyjnej.
9. Wnioski.

Zgodnie z § 20 Statutu, na Zgromadzeniu mogą być dyskutowane i poddane pod głosowanie tylko te wnioski, które zostaną zgłoszone Zarządowi Związku na 7 dni przed terminem Zgromadzenia.

Stosownie do § 8 Statutu, Stowarzyszenia wchodzące w skład Związku, korzystają na Walnem Zgromadzeniu z jednego głosu na każdych dwudziestu członków, przyczem rozpoczęta dwudziestka liczy się za pełną i daje prawo jednego głosu.



Z POLOWAŃ W ROZHURCZU.

Dokończenie. (Zob. Nr. 17).

Ciekawem zjawiskiem było pojawienie się niedźwiedzi w Karpatach Wschodniej Małopolski w latach powojennych w większej ilości, niż to było przed wojną, co należy słusznie tłumaczyć bezpośrednią łącznością rozległych, górskich obszarów leśnych Wschodniej Małopolski z olbrzymimi lasami Karpat węgierskich, obecnie czechosłowackich, oraz w dalszym ciągu łącznością z lasami bukowińskimi i siedmiogrodzkimi.

Olbrzymie lasy Siedmiogrodu są, jak wiadomo, największem siedliskiem niedźwiedzi w Karpatach, są niejako najgłówniejszym ich matecznikiem.

Czytelnikom „Łowca" lwowskiego (rocznik 1925 lub 1926), żywo w pamięci stoi zdjęcie niebywałego rozkładu piętnastu niedźwiedzi, zabitych jednego dnia polowania w jesieni 1922 r. na Siedmiogrodzie, w lasach magnata węgierskiego, barona Kèmeny. Niedźwiedzie te padły w dwóch tylko miotach, a mianowicie w jednym padło jedenaście, a w drugim cztery niedźwiedzie. Sprawozdanie o tem niebywałem polowaniu, wraz ze zdjęciem fotograficznem, zostało zaczerpnięte z „Deutsche Jägerzeitung".

Jakkolwiek zdumiewający i wprost nie do wiary jest ten rezultat, mimo to nie jest on na Siedmiogrodzie odosobnionym wypadkiem, gdyż wiemy o tem z najlepiej chyba poinformowanego źródła, a mianowicie od p. d-ra J. Philipowicza z Czerniowiec, który jest inspektorem łowiectwa na Bukowinę z ramienia rumuńskiego ministerstwa rolnictwa. Pan dr. J. Philipowicz, myśliwy najwyższej klasy, którego miałem przyjemność poznać, mówił mi, że w rok po tem polowaniu w innym rewirze w Siedmiogrodzie również

zabito kilkanaście niedźwiedzi jednego dnia polowania.

Z powodu działań wojennych w Karpatach, rozeszły się niedźwiedzie z Siedmiogrodu i Bukowiny, wzmacniając tem liczebny stan niedźwiedzi w lasach górskich Wschodniej Małopolski. Tak np., gdy w lasach Skolego (własność br. Groedlów) było przed wojną zaledwie kilka niedźwiedzi, to raporty tropienia na pierwszych śniegach w jesieni r. 1928-go wykazały trzydzieści sztuk niedźwiedzi. Myśliwi, którzy dzierżawili rewiry w latach powojennych w Perehińsku i Wełdzirzu, a to np. pp. Stanisław Kiełczewski, prof. dr. Adam Sołowij, Cyryl Czarkowski-Golejewski, Włodzimierz Walery Barański i inni w latach 1919 do 25, poświadczyć mogą, że po ciężkiej zimie 1921/22 r., która również prócz wilków w jesieni na krótki czas odwiedzały knieję rozhurecką oraz sąsiednią knieję taniawską, przychodząc z Polanicy, lub też ze Skolego. Przychodziły one tylko w jesieni, zapędzone głodem, gdy w górach pierwsze przymrozki jesienne zmrożą jagody, stanowiące ulubiony ich pokarm (są to tak zwane borówki i czerwone gogodze, zwane też bruśnicami lub kamionkami), a bydło i owce z połonin zejdą.

W kniei rozhureckiej, a zwłaszcza w dolnej jej części, jest stosunkowo wielka ilość t. zw. „dziczek". Są to dzikie jabłonie i grusze w lesie rosnące, które rodzą drobne, cierpkie owoce, zwane przez ludność miejscową „kwaśnicami", są one ulubionym pokarmem dla jeleni, sarn i dzików.

Znaną jest też rzeczą, że niedźwiedzie ogromnie lubią te dzikie owoce i że np. na czechosłowackie, bu-



Rozkład dwuch stosunkowo małych miotów w kniei Rozhureckiej w trzy strzelby dnia 29 stycznia 1929 r. 1 wilk (basior) i dwa odyńce. Siedzą od strony lewej ku prawej: Włodzimierz Walery Barański, inż. W. Kopystyński i Tadeusz Barański. (Do art. A. Onyszkiewicza: „Z polowań w Rozhurczu").

poczyniła dość znaczne uszczerbki w powojennym stanie jeleni, spotkanie z dobrym jeleniem było trudniejsze, niż spotkanie z niedźwiedziem. Byli myśliwi w górach, którzy na jednem rykowisku jeleniem podczas podchodów w okresie tych dwu-tygodniowych łowów kilka niedźwiedzi przypadkowo spotykali, nie polując specjalnie na niedźwiedzie. Naturalnie, stan ten już obecnie się zmienił, lasy głęboko karpackie zaludniły się znów wielką ilością jeleni, tak, że o spotkanie nawet z dobrym jeleniem o wiele łatwiej niż z niedźwiedziem.

Gdy ostatni niedźwiedź w kniei rozhureckiej był tropiony na błocie w roku 1908-ym, wówczas wszyscy byli zdumieni i uważali to za wydarzenie niezwykle rzadkie, by niedźwiedź aż po brzeg Karpat się zapuścił, to po roku 1921 niedźwiedzie corocznie kowińskie i siedmiogrodzkie podgórze corocznie w poszukiwaniu za nimi, z głębokich gór schodzą.

Mimo to, że niedźwiedzie corocznie po r. 1921-ym z głębokich gór schodziły do kniei rozhureckiej i do sąsiednich lasów rządowych taniawskich, jednak nie udało się do jesieni 1926 r. żadnego z tych przechodnich niedźwiedzi zabić, z powodu braku śniegu podczas jesiennego, gremjalnego polowania nagankowego.

W roku 1926-ym, tak jak w latach poprzednich, zeszły niedźwiedzie, sądząc po wielkości różnych tropów na błocie stwierdzonych, w ilości czterech sztuk, już w sierpniu, a więc wcześniej, niż zwykle, a znalazłszy wielką ilość dzikich owoców, na które w tym roku był niezwykły urodzaj, pozostały dłużej niż zwykle, w kniei rozhureckiej i w sąsiednich lasach rządowych.

Na Podkarpaciu spadają pierwsze „przyprószki" śnieżne zwykle przy końcu października lub w listopadzie, gdy natomiast w głębokich górach nieraz przy końcu września, podczas rykowiska, nawet często dość znaczne spadają śniegi, które jednak zwykle w przeciągu kilku dni topnieją.

W Rozhurczu zwykle odbywają się dwa gremjalne polowania na dziki, jedno w jesieni, a drugie w zimie. Termin jesiennego polowania został oznaczony na 27 i 28 października. W nocy z 25-go na 26-go października spadł śnieg, umożliwiający tropienie. Skorzystano więc z tego, by przekonać się o ilości dzików tuż przed polowaniem, i zarządzono tropienie, które wykazało, oprócz wielkiej ilości dzików, znajdujących się w poszczególnych motach, także obecność jednego z tych przechodnich niedźwiedzi.

Został on mianowicie otropiony w miocie tak zwanym „Lubieniecki".



Włodzimierz Walery Barański z kapitalnym odyńcem zabitym w Rozhurczu w miocie „Malinowiszcze" dnia 13.III. 1928. Szable tego odyńca zostały odznaczone na Wystawie łowieckiej w Poznaniu trzecią tarczą złotą. (Do art. A. Onyszkiewicza: „Z polowań w Rozhurczu").

Mimo to, że niedźwiedź ten był przechodni i że mógł bardzo łatwo wyjść następnego dnia do sąsiednich lasów rządowych i ubicie go było prawie pewne, wobec tego, że zaległ on w miocie, z którego stosunkowo łatwo możnaby go wyprzeć na myśliwych, postanowili gospodarze kniei nie skorzystać z tej sposobności i nie polować na niego w dzień zjazdu gości, t. j. 26.X.

Po naradzie z łowczym, ś. p. Popowiczem, postanowiono polować pierwszego dnia polowania, t. j. 27-go października, w górnej części rewiru, mimo że niedźwiedź leżał w dniu 26.X. w jednym z miotów dolnej części rewiru. Decyzja taka zapadła dlatego, że była rzucona w dolnej części rewiru konina na przynętę, do której on od kilku dni chodził, słusznie więc przypuszczano, że może zatrzyma się. Okazało się to trafnem, gdyż w nocy z 26 na 27.X. padał śnieg, który przestał padać dopiero około 9-ej godz. rano, uniemożliwiając tropienie.

Pierwszy dzień polowania w górnej części rewiru minął bez wybitnych wrażeń, kilka dzików padło, a kilka zostało chybionych. W nocy z 27 na 28.X. również spadł śnieg mokry, przysypując ślady z poprzedniego dnia.

Łowczy, ś. p. Popowicz, rano dnia 28.X. udał się na tropienie do dolnej części rewiru wraz ze strażą. Otropił on w jednym miocie około 30 — 40 dzików, w drugim miocie 16 dzików i 2 wilki, w trzecim miocie (o radości!) kapitalnego niedźwiedzia.

Naturalnie, niedźwiedziowi, mimo możności wyjścia wilków z miotu, przyznano pierwszeństwo i postanowiono najpierw na niego polować.

Został on otropionym w części miotu, t. zw. „Moczarki", miocie stosunkowo nieдużym, zaledwie około trzydziesto - morgowym, tworzącym kwadrat: z trzech stron trzy linje leśne, z czwartej strony miot ten przypierał do pola.

Była to drągowina dębowo - olchowa, łozą i kruszyną na mokrzejszych miejscach porośnięta, a małą zaledwie czść tworzył gąszcz zwarty, świerkowy pod samem polem.

Jasnem było, że niedźwiedź jedynie w tym gąszczu zaległ, gdyż na drągowinie leżeć nie mógł.

W grobowem milczeniu udali się łowcy na wyznaczone stanowiska. Łowczy udał się wraz z naganką i strażnikami do miotu, by osobiście dopilnować prowadzenia gonu.

W drugiej połowie gonu miotu ukazał się niedźwiedź, ruszony z gąszczu świerkowego, w gęstej olszynie, p. Stanisławowi Cieńskiemu z Pieniak, który do niego w trudnych warunkach strzelił i chybił.

Po strzale niedźwiedź zmienił kierunek ucieczki i wypadł na obok stojącego brata p. Stanisława Cieńskiego, Ludomira, który dwoma strzałami z podwójnego sztućca kal. 9,3 na miejscu go powalił. Był to wspaniały niedźwiedź samiec, długości od nosa do nasady ogona 1 m. 98 cm. i wagi 208 kg. o bardzo pięknem, ciemnem futrze.

Następnie wzięto trzy mioty, w których licznymi strzałami witano liczne dziki, na linje myśliwych wychodzące, niestety, z rezultatem nikłym, gdyż zaledwie trzy dziki ubito, a powinno ich było paść kilkanaście. W jednym z miotów przeszedł żbik niestrzelany, przez linję myśliwych, zbyt późno zauważony przez jednego z myśliwych.

Wilki wyniosły się zaraz po pierwszym miocie, spłoszone strzałami.

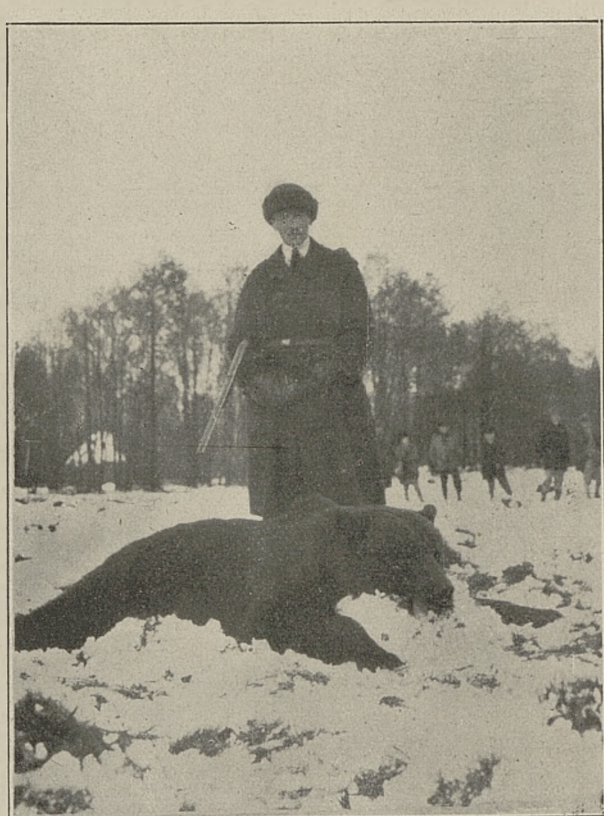
Wieczorem, przy obiedzie, wzniósł Włodzimierz Walery Barański na cześć szczęśliwego pogromcy kapitalnego niedźwiedzia, toast następującej treści: „W tę, tak wielką i uroczystą dla kniei rozhureckiej i dla Ciebie Ludomirze, chwilę, kiedy u stóp Twych legł król Karpat, pozwolisz, że wychylę ten kielich na Twą cześć i powtórzę za jednym z nestorów łowiectwa polskiego:

Kto kudły niedźwiedzie podścielił pod nogi,
Tyś to uczynił, Ludomirze drogi,
Cześć Ci i sława, Łowcze szczęśliwy,
W tę świetną życia godzinę,
Ja Ci dziękuję, towarzysz - myśliwy,
Jeden za całą drużynę,
I żeśmy byli w szczytnym zapale
Uczestnikami tej chwili,
Że go dziś mamy po Twoim strzale,
Żeśmy tej doby dożyli,
Z zaszczytu bowiem, coś Ty dostąpił,
I na nas cząstka też spada,
Dzisiaj los szczęścia Ci nie poskąpił,
Na skronie wieniec Ci wkłada."

W przemiłym nastroju minął ten naprawdę uroczysty, wielki, myśliwski dzień.

W jesieni 1927- go r. zabił Eustachy Barański na polowaniu z naganką, niedźwiedzia, który został otropiony w miocie „Stawy". Był to nieduży niedźwiedź, jednak o bardzo pięknem futrze.

Niech mi wolno będzie wyrazić najserdeczniejsze słowa podzięki i to zarówno w imieniu własnem, jako



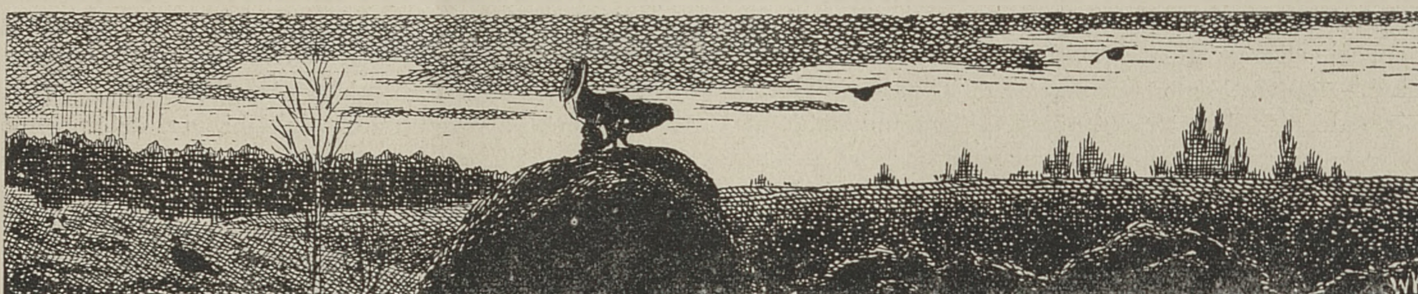
Ludomir Cieński z zabitym przez siebie, kapitalnym niedźwiedziem wagi 208 kg. w kniei Rozhureckiej w miocie „Moczarki" dnia 28 października 1926 r. na polowaniu z naganką. (Do art. A. Onyszkiewicza: „Z polowań w Rozhurczu").

też i w imieniu wszystkich tych, którzy niejednokrotnie z łowieckiej kniei rozhureckiej czerpali skarbnicy, zarówno ś. p. Włodzimierzowi Barańskiemu, jako też godnym jego, łowieckim następcom, obecnym właścicielom kniei, Włodzimierzowi Waleremu, Eustachemu i Tadeuszowi Barańskim, za spełnienie tylu szczytnych, łowieckich marzeń i pragnień. Oby św. Hubert dał, by knieja rozhurecka znów do dawnej wróciła świetności pod umiejętną i troskliwą ręką Gospodarzy. Niech potężny ryk coraz liczniejszego „króla Karpat" rozbrzmiewa po dzikich i uroczych Waszych górach, niech po wieczne czasy w Waszej kniei piszą na śniegu cudne, a tak serce łowca i nerwy elektryzujące hieroglify — potężne, górskie odyńce „garbusy". Niech znów co jesieni „Imperator" polskich gór", niedźwiedź, do Was zagaszcza (jednak, jeżeli mu życie miłe, radzę, by przed pierwszymi śniegami czemprędzej do głęboko - górskiej swej wrócił ojczyzny).. Niech sędziwe Wasze buki szumią po wieczne czasy Wam pieśń dziękczynną, za prawdziwe, głębokie umiłowanie i poszanowanie ojczystej przyrody i jej łowieckich skarbów!

A teraz, na zakończenie powtórzę słowa, które Karol hr. Holck z Altony koło Hamburga, po zabiciu jelenia w kniei rozhureckiej wyrzekł:

Wer nie am Weidwerk sich erfreut,
An Jagd und Hege gleicherzeit,
Wer nie in der Natur gelesen,
Wer nie Baranski's Gast gewesen,
Wer in Rozhurcze war verdrossen,
Der hat das Leben nicht genossen.

ANDRZEJ ONYSZKIEWICZ.



NA PIERWSZEM TOKOWISKU.

Przed wieloma laty, między Bugiem a rzeką Ratą, lasy i niedostępne bagna były Eldoradem dla myśliwych. Tam, gdzie dziś trudno znaleźć parę dzikich kaczek, były ich tysiące. Żórawie gnieździły się na błotach setkami. Co dzień, przy wschodzie słońca rozlegały się daleko, na całą okolicę chóralne śpiewy tych wspaniałych ptaków. Żałosny krzyk kręcących się w powietrzu, nad każdą łąką, czajek — nie ustawał, ni w dzień, ni w nocy. — Różnego gatunku kuliki, kulony, bataliony i bekasy odzywały się o każdej porze dnia w czasie lęgu, różnorodnymi głosami i świstem. Nie było za to nigdzie słychać gwizdu parowej maszyny, przeraźliwego trąbienia auta, ani nawet turkotu wozu po bitej drodze. Wozy toczyły się po sypkim piachu lub grzązkiem błocie, które rzadko kiedy, na drogach doszczętnie wysychało. W lasach było pełno zwierzyny. Dziki chodziły całemi stadami, sarn też było dosyć. Małych lisów „smolarków" z ciemnem futerkiem, więcej się trafiało, niż zajęcy, którym te okolice nie służyły. Leśnych kun i wyder było wszędzie pełno. Wilki rok rocznie wywodziły się w lasach mosteńskich, chlewczańskich, bełzkich i chorowskich. Cietrzewi była taka moc, że gdy nieraz obsiadły, pojedyńczo stojące dęby pod lasem, sądziło się, że to stado gawronów czernieje zdaleka na drzewie. — Do tego Eldorada, będąc jeszcze studentem, wyjechałem na wielkanocne święta do krewnych. Pierwszy raz miałem wtedy sposobność odwiedzić tę zapadłą, lasami i bagnami pokrytą okolicę. Do Żółkwi ze Lwowa jechałem szosą, pełną dziur i wyboi, zalaną, jakby gęstą, białą śmietaną, wapiennem, rzadkiem błotem.

Za Żółkwią droga bita kończyła się. Wjechaliśmy w grzązkie piachy, bezdenne bajory i groble, ciągnące się kilometrami przez bagna, wymoszczone przegniłymi okrąglakami. Na rzekach i potoczkach stały owe sławne, „polskie" mosty, które przy niskim stanie wody starannie omijano, jeżdżąc bokami przez grzązkie brody. Gdy jednak na wiosnę stan wody był wysoki i mostów nie było można minąć, to woźnica po poprzedniem zrobieniu znaku krzyża świętego zacinał batem konie, które zlęknione wskakiwały z grobli na wysoko unoszący się pomost ułożony z okrąglaków, które nieprzybite do belek skakały jak klawisze fortepianu, pod kopytami wystraszonych koni.

Szczęściem było dla podróżnych, jeżeli dyle wytrzymały ciężar wozu i koni i jeżeli niewiele brakło ich na pomoście, tak, że konie mogły przeskoczyć przerwy, a koła szersze były od dziur i nie uwięzły. Przejazd po tych mostach, jeżeli kończył się tylko okulawieniem koni, lub porwaniem uprzęży, złamaniem osi lub dyszla, liczył się jeszcze do szczęśliwych. Wogóle w tych stronach, nietylko mostów, ale i dróg, okopanych, może jeszcze za czasów króla Sobieskiego, kiedy jako hetman koronny rezydował na zamku Żółkiewskim, — tutejsi mieszkańcy starannie unikali. Obok tej polskiej drogi, wiło się tysiące dróżek, po lasach, pastwiskach i łąkach, któremi przemykali okoliczni chłopi, świadomi ich końca i początku. Jednak te boczne drogi nie były dozwolone do przejazdu i właściciele gruntów, po których biegły, robili przejeżdżającym wstręty, a nieraz przychodziło do bijatyk i awantur. Nic to jednak nie pomagało. Wła-

ściwą drogą jeździli tylko obcy i żydzi, a ludność miejscowa używała stale tych zakazanych przejazdów i nie było sposobu, zmusić ją do używania drogi publicznej. Każdy miał swoją ulubioną dróżkę i utrzymywał, że jego droga jest najkrótsza i najlepsza. Kto świadom tych stron, wie, że i dziś jest tam prawie to samo. Na takie boczne dróżki wjechał mój woźnica, miejscowy chłop, fornal dworski, bo w czasie roztopów, cugowych koni w dalszą drogę żałowano wysyłać, zastępując je zwykłymi bramkami. Początkowo wiła się nasza drożyna po jakichś wydmach i nieużytkach, pomiędzy krzakami jałowca a karłowatemi sosnami. Dzień chmurny i mglisty zbliżał się ku końcowi, a jeszcze trzy mile mieliśmy do przebycia. Suche stosunkowo wydmy piaszczyste, porosłe jałowcem, wnet się skończyły i jadąc taką boczną drożyną, wjechaliśmy niebawem do gęstego, sosnowego boru. Droga wiła się po lesie w skrętach wężowych. Pełno wyboi i dziur, korzeni, pni w poprzek leżących, urozmaicało tę podróż. — Co chwila wózek chylił się gwałtownie, to naprawo, to nalewo. Bacznie należało obserwować te nagłe przechylenia, by w czas się rzucić całem ciałem w przeciwną stronę, aby nie wylecieć z rozchybotanego wozu, lub nie trzasnąć odchyloną w bok głową, o pień sosny. — Zwisające nisko gałęzie drzew zagrażały oczom postradaniem wzroku, a kapelusz zerwany z głowy konarem, spadał często na ziemię i woźnica musiał wytrzymywać konie i zsiadać z kozła, aby go podjąć.

Robiłem mu przy tej sposobności wymówki, czemu jedzie tą drogą i poco zjechał w te wertepy. Lecz fornal utrzymywał, że to jest najlepsza i najkrótsza droga i że tędy sam pan jeździ również. Droga coraz więcej stawała się grzązka i zaczęły się ukazywać, w poprzek przegradzające ją strugi leśne. Woda w tych jeziorkach miała kolor mocnej herbaty, a była nieraz tak głęboka, że nabierała się do wózka. Wtedy nogi trzymać należało wzniesione w górę. Nieraz z tych leśnych strug zrywały się spłoszone naszym przyjazdem, z głośnem kwakaniem, dzikie kaczki. Wreszcie — skończyły się te tarapaty i ukazała się przed nami sianożęć porosła nizkimi krzakami czarnej wierzby. Już przedtem zauważyłem, że woźnica od pewnego czasu rozgląda się to naprawo, to nalewo, jakby szukał jakichś znaków w lesie. Miałem podejrzenie, że zbłądził. Podejrzenia moje, z chwilą, gdyśmy wyjechali z lasu, nabrały pewności, gdyż woźnica stanął i rozglądał się na wszystkie strony tak, jakby tu znalazł się po raz pierwszy w życiu. Na moje pytanie, czyśmy nie zbłądzili, odpowiedział, że jedziemy dobrze, tylko, że kapkę zjechaliśmy na bok i teraz należy jechać naprawo, by trafić na właściwą drogę. — Na to nie miałem żadnej rady, bo nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. Woźnica twierdził, że już tylko milę mamy do przebycia. Co jednak ta mila oznaczać mogła i ile czasu w tych warunkach potrzeba było do jej przebycia, nie miałem pojęcia.

Po wjeździe na sianożęć skręciliśmy od śladu wozu, który szedł w głąb sianożęci naprawo i tu już bez żadnej drogi wprost po łące, jechaliśmy przed siebie obok lasu. — Grunt był dość twardy, a ta dziewicza droga, była pozbawiona wyboi, błota i różnych przeszkód, jakie spotykaliśmy dotychczas. Mrok już zapadał. Nad nami jęły krążyć przeraźliwie krzyczące czajki, jak gdyby chciały odstraszyć nas swoim krzykiem od dalszej jazdy w tę stronę. Gdy jedne się zmęczyły i przestawały nam dokuczać, zrywały się gdzieś z pobliża inne i prześladowały nas zawzięcie. Czasami atakowały tak blisko, że prawie dotykały głów naszych skrzydłami. Szum, a raczej brzęk skrzydeł, latających nad nami ptaków, dźwięczał wciąż w uszach i mimowoli zmuszał do zwracania głowy w tę stronę, skąd raptem nas doszedł. Zauważyłem, że woźnica rzuca nienawistne spojrzenia na atakujące nas czajki i spluwa. Chociaż wiedziałem, że ptaki poirytowane są naszą obecnością w bliskości ich gniazd i krzykiem swym chcą nas stąd wypłoszyć, to jednak spytałem się woźnicy, dlaczego nas tak atakują. Chłop milczał czas jakiś, jakby się wahał z odpowiedzią. W końcu rzekł po rusku: Wiadomo panie, że tatarska sobaka nie lubi chrześcijańskiej duszy i że nic dobrego, te ich krzyki oznaczać nie mogą. Zastanowiła mię ta nazwa czajki, tatarską sobaką. Skąd mogła się wziąć między tym ludem, który o tatarach mógł słyszeć przed wiekami, lecz dziś pewnie, nie ma pojęcia, co to za naród, i nie zna jego historji. Na moje pytanie, dlaczego czajka ma być tatarską sobaką, woźnica nie umiał dać zadawalającej odpowiedzi. — Tak nazywają u nas i ja tak nazywam.

Jazda nasza po gładkiej sianożęci smutnie się skończyła, wkrótce dojechaliśmy do rowu, który zagradzał nam drogę. Rów nie był głęboki i miał dość łagodnie pochyłe brzegi, więc woźnica, po namyśle, nie widząc innego wyjścia z tej sytuacji, postanowił przejechać rów na drugą stronę. Ponaglone batem konie,



Powrót z toków na Ostrym Borze 20.IV.1913 r.
(b. teren Osiecki Pol. Tow. Łow.).

Stoją od strony lewej ku prawej: pp. Fr. Ejsmond, W. Paszkowski, ś. p. Henryk Sienkiewicz, W. Butkiewicz, Wł. Słonczyński, ś. p. B. Wysocki.

nierównomiernie zareagowały na to. Jedeń koń przeszedł rów, a drugi go przeskoczył. W rezultacie znaleźliśmy się wprawdzie po drugiej stronie rowu, lecz ze złamanym orczykiem i przerwanym postronkiem u szlei. Woźnica zlazł z wózka, poskrobał się w głowę, zaklął brzydko i oznajmił mi, że to te tatarskie sobaki winny temu. — Sytuacja nie była zbyt wesoła; zmrok zapadał; białe tumany mgły zaczęły się unosić nad błotami, a my znajdowaliśmy się na zupełnem bezdrożu, w miejscowości, jak się okazało, dla nas zupełnie nieznanej. Ani teraz ruszyć w tył, ani naprzód. Zanim woźnica wyciął kozikiem, potrzebnej grubości kawałek gałęzi, z rosnącej na łące wierzby, zanim powiązał zerwane postronki, upłynęło sporo czasu i ze zmierzchu zrobiła się noc, początkowo dość widna. Jechaliśmy dalej, na przełaj, powoli po łące, w kierunku, w którym woźnica spodziewał się dojechać do znanej mu drogi. Po jakiej półgodzinnej jeździe, ściemniło się zupełnie i czarna, głucha noc okryła nas ciemnym całunem. Konie stanęły. Drogę zagradzały nam gęste krzaki.

(Dok. n.). LEON STARKIEWICZ.



Uczestnicy polowania w dniu 28.X.1926. Stoją od strony lewej ku prawej: wicewojewoda Gronziewicz, St. Pieńczykowski, Władysław Barański, Henryk Prek, St. Madejski, St. Cieński, K. Polański, Roman Stroynowski, St. Lenartowicz, Eustachy Barański, starosta Winiarski; siedzą od lewej ku prawej stronie: Włodzimierz Walery Barański i Ludomir Cieński. (Do art. A. Onyszkiewicza: „Z polowań w Rozhurczu").



NIEBEZPIECZNA PRZYGODA.

Gdym po przyjeździe do Indji spotkał po raz pierwszy swego przyjaciela X, uwagę moją zwróciły przedewszystkiem głębokie blizny na twarzy i rękach. Znając jego upodobanie do łowów na grubego zwierza, przeczułem odrazu jakąś ciekawą przygodę i przy pierwszej sposobności, siedząc na werandzie wieczorem, spytałem go o te blizny, w nadziei, że posłyszę coś o tygrysach. Nie zawiodłem się. — „To są wszystko pamiątki po tygrysie" — odpowiedział i odchyliwszy rękaw tenisowej koszuli, pokazał mi szereg głębokich blizn na prawem ramieniu i nawet na plecach. „Jeżeli to nie zadługa historja, opowiedz mi ją" prosiłem zaintrygowany. „Dobrze, lecz wpierw powiedz mi, czy wiesz, co to polować na tygrysy z tak zwanego „machan'u"? „Wiem tylko" odparłem, „że „machan" to rodzaj platformy do strzelania, urządzonej na drzewie..." „Dobrze", przerwał mi, „opowiem ci historję, która omal nie pozbawiła mnie życia, ale nauczyła przynajmniej paru pożytecznych rzeczy o tygrysach, nerwach, fuzjach i t. d. Otóż podczas Bożego Narodzenia 19... miałem sposobność wybrać się na dawno projektowane łowy, w okolicy słynnej ze zwierzyny, a szczególnie z wyjątkowo drapieżnych tygrysów. Czy ta ich reputacja wpłynęła na moje postępowanie, — nie wiem. W każdym razie wykazała moją głupotę i może do pewnego stopnia była przyczyną tchórzostwa moich towarzyszy. Oni z pewnością mieli już doświadczenie, — ja wyruszałem na łowy z mocnem postanowieniem upolowania pierwszego mego tygrysa.

Gdyśmy przybyli na upatrzone miejsce i robili namioty, poszedłem obejrzeć teren, a szczęśliwy traf zrządził, że tej samej nocy tygrys zabił ogromnego „sambhur'a" (jelenia) o jakie pół mili od naszego obozowiska. To był jedyny pomyślny wypadek w tej mojej eskpedycji! Doniósł mi o tem jeden z tubylców, bo wieść o mojem przybyciu rozeszła sięwoka mgnieniu śród drwali i rolników okolicznych. Ten miejscowy sportsman obliczył w jednej chwili, że gdyby sam zabił tygrysa i chciał dostać obiecaną przez rząd nagrodę za przyniesioną skórę, musiałby zrobić conajmniej 20 mil do władz powiatowych, a tak może na mnie zarobić dużo więcej. — Kalkulacja niepozbawiona słuszności!

Zaprowadził więc nas na miejsce, gdzie leżał jeleń, pożarty już do połowy przez tygrysa, i pokazał świeże ślady tego ostatniego. Wyciągnąwszy krwawe resztki z pośród krzaków, o jakie 5 yardów dalej (co właściwie nie jest zalecane, bo tygrysy są bardzo podejrzliwe), kazałem zbudować „machan" na drzewie znajdującem się opodal, i wróciłem do obozowiska.

Ale o 4-tej byłem znów na miejscu i wdrapałem się na drzewo, obłamując gałęzie, które mogłyby mi przeszkadzać przy strzale. Dwóch ludzi, którzy mi towarzyszyli, odesłałem i zostałem sam na czatach, w nadziei, że oczekiwanie nie potrwa długo, bo tygrysy często wracają do swej ofiary jeszcze przed zmierzchem. Siedziałem bez ruchu. Tygrys mógł być już gdzieś w pobliżu, a ja nie zaniedbuję nigdy najmniejszych środków ostrożności.

O zmierzchu zjawiły się tylko moskity, — tygrysa ani śladu! Nie miałem szczęścia! Niezadługo noc zapadła i cudowny księżyc prawie w pełni wypłynął nad wierzchołkami drzew, rzucając srebrne blaski, właśnie tam, gdzie było potrzeba — dokoła przynęty. Myślałem, że nawet gdyby tygrys nie zjawił się wcale, mój czas nie zostałby zmarnowany, tak ślicznie było siedzieć tam wśród ciszy zalanej światłem dżungli.

Była już chyba północ, gdy posłyszałem stąpanie kilku jeleni, a o jakie 100 yardów w przeciwnym kierunku, stado dzików szło najpierw powoli, potem coraz prędzej, aż po chwili obie grupy zwierząt rzuciły się raptem do ucieczki i znikły w oddali. „Jest tygrys" pomyślałem i zacząłem szukać go wzrokiem w sąsiedniej jungli, ale napróżno. Wtem lekki trzask rozległ się gdzieś w dole podemną, — zobaczyłem go! Stał o jakie 2 yardy od swej ofiary i rozglądał się podejrzliwie dokoła. Czy mnie dostrzegł? Postanowiłem nie tracić ani chwili i wycelowawszy starannie, wypaliłem, lecz tak byłem podniecony, że mi ręka zadrżała i strzał nie był śmiertelny. Tygrys zachwiał się, potem ze strasznym rykiem skoczył i skrył się w jungli. Widocznie był ciężko ranny, bo słyszałem, jak warczał w krzakach, — potem wszystko ucichło.

Co za idjota ze mnie! Przeklinałem siebie w duchu, ale ostatecznie nie byłem takim warjatem, aby zejść zaraz z drzewa, i przesiedziałem na niem ze sześć godzin jeszcze, aż do świtu. Dopiero wtedy skierowałem się w stronę obozowiska, ale w drodze spotkałem sześciu swoich ludzi i tyluż miejscowych włościan, którym z wieczora przykazałem surowo, aby dla własnego bezpieczeństwa nie zbliżali się do mnie przed wschodem słońca, o ile nie dam umówionego sygnału. Teraz wyruszyliśmy całą bandą, około 13 ludzi i wkrótce odnaleźliśmy krwawe ślady tygrysa, a o jakie 300 yardów dalej jego samego leżącego i warczącego, między krzakami. Strzeliłem do niego na 40 yardów — nie strzelałem nigdy tak fatalnie, ani przed tem, ani potem—i kula strzaskała mu prawą łopatkę, ale go nie dobiła. Wyglądał bardzo groźnie, ale nie rzucił się na mnie, nie dowierzając już widocznie sile swego skoku. Wiedziałem dosyć o ranionych tygrysach, by nie zbliżać się zbytnio, ale tubylcy, między którymi znajdowało się kilku pierwszorzędnych myśliwych, zachęcali mnie okrzykami: „Chelao sahib" (idź naprzód) wołali i wstydziłem się skompromitować, więc postąpiłem jeszcze ze 20 kroków i wypaliłem. Raniłem go raz jeszcze, ale nie śmiertelnie. (Kiedy wyszedłem ze szpitala, pierwsza rzecz: kupiłem sobie inną fuzję). Wtedy tygrys rzucił się w raptownym skoku i zanim się opamiętałem, już wspinał się na tylne łapy, aby mnie dosięgnąć potężnymi pazurami.

W takiej chwili nie zawsze się robi to, co byłoby najmądrzejsze. Wpakowałem mu kolbę w paszczę — oczywiście powinienem był wsadzić lufę i wypalić, ale widocznie to było w danej chwili za trudne, lub może straciłem przytomność umysłu! W oka mgnieniu kolba była strzaskana na kawałki. Zacząłem wołać o pomoc, ale moi dzielni towarzysze wszyscy znikli! Byłem sam, ze strzaskaną bronią, a gorący oddech tygrysa owiewał mi twarz. Lewą łapą chwycił mnie za prawe ramię, a prawą wymierzył mi taki cios w głowę, że zwaliłem się na ziemię. „Koniec" pomyślałem, ale ostatnim wysiłkiem woli wpakowałem mu prawe ramię aż po gardło. Dotychczas jeszcze tę dłoń mam nawpół bezwładną, a palce nieruchome. A spójrz, jakie straszne blizny mam tu powyżej łokcia!

Musiałem zemdleć, bo gdy wróciłem do przytomności podobno po godzinie, pierwsza rzecz: poczułem ciepłą krew i zrozumiałem, że rany moje, krwawiąc tak dłużej, mogą spowodować śmierć. Zacząłem wołać o pomoc, bardzo słabym głosem, ale nikogo nie było w pobliżu. Pewnie uciekli wszyscy aż do obozowiska. Odwróciłem głowę i — spostrzegłem o cztery kroki odemnie martwego tygrysa! Doznałem takiego nerwowego wstrząsu, że rany przestały krwawić natychmiast i może temu właśnie zawdzięczam życie.

W pół godziny potem ludzie moi wrócili i zanieśli mnie do mego namiotu. Wcale nie czułem się tak słaby, jakby się można było spodziewać. Wziąłem gorącą kąpiel, zalałem rany jodyną i kazałem się zanieść na polowem łóżku, do najbliższej stacji, co zajęło ze sześć godzin. Naturalnie spóźniliśmy się na pociąg i musiałem przeleżeć w poczekalni całą noc. Dopiero po 48 godzinach dostałem się do szpitala. wtedy dopiero poczułem się źle. Doktór zadecydował, że mam nie więcej niż 7 godzin do życia. Przeszedłem siedem operacyj, leżałem w szpitalu trzy miesiące, ale ostatecznie nic mi się tak bardzo złego nie stało w tej bądź co bądź niebezpiecznej przygodzie".

m. z.



W SPRAWIE SZKOCKICH SETTERÓW T. ZW. GORDONÓW.

Dokończenie. (Zob. Nr. 17).

W ciągu kilkudziesięciu lat swej praktyki myśliwskiej miewałem również prócz gordonów i inne jeszcze legawce, jako to settery angielskie, settery irlandzkie, pointery, a nawet razu pewnego, lecz bardzo krótko, niemiecką ostrowłosą sukę; ze wszystkich jednak tych psów, najłatwiejszymi do tresury były zawsze gordony, następnie zaś szły pointery, dalej settery angielskie, a w końcu dopiero settery irlandzkie, z których doskonałego psa posiadam obecnie, a który niemało trudów i cierpliwości mnie kosztował, zanim go należycie ułożyć i wytresować zdołałem, a to zapewne tylko dlatego, że gdym go dostał, miał już około 7 miesięcy i był w dodatku kompletnie jeszcze surowy i porządnie rozbałamucony, oraz nadzwyczaj uparty. A że był to pies wysoce rasowy i bardzo piękny, z prawdziwą więc wdzięcznością psa tego przyjąłem, choć zgóry spodziewałem się, że niemało krwi mi napsuje w czasie układania oraz tresury, jako już pies starszy.

Być może, że gordony, które przez ręce moje się przewinęły, pochodziły z gniazd rzeczywiście pierwszorzędnych i głównie z przyczyny brania przezemnie psiaków od możliwie najwcześniejszej ich młodości (2 — 3 miesięczne) do domowego ułożenia, a dopiero 6 — 7 miesięczne do właściwej już tresury, — cała nauka szła mi zawsze nadzwyczaj gładko— znacznie łatwiej, aniżeli z psami ras innych, które powyżej wymieniłem, a dlatego nie mogę, jak w tym wypadku, wydać sprawiedliwego sądu dotyczącego tychże gordonów, branych dopiero w starszym ich wieku do ułożenia i tresury, nabywałem bowiem prawie że zawsze szczenięta bardzo jeszcze młode, tak ze względów materjalnych, jako też ze względu osobistej przyjemności, w czasie początkowego ich układania i dalszej tresury, co stanowiło jak dla mnie, zawsze bardzo miłą rozrywkę.

Co do zarzucanego gordonom przez niektórych myśliwych, braku należytej wytrzymałości w czasie dłuższej, polnej ich pracy, a zwłaszcza podczas nadmiernych skwarów, to u moich gordonów nigdy czegoś podobnego nie zauważyłem, pracowały bowiem w polu zawsze nadzwyczaj szybko i nie miewałem wypadku, ażeby którykolwiek z tych psów, o ile naturalnie był kompletnie zdrowy, miał zmęczyć się kiedy do tego stopnia, nawet podczas największych, sierpniowych upałów, by obkładał wolniej i wreszcie ze zmęczenia w swej pracy ustawał, jak to zazwyczaj czyniły znane mi, ciężkie i flegmatyczne, niemieckie wyżły, lub wreszcie psy inne, nadmiernie zapasione, lub też zabiedzone i słabe.

Zanim ze swoim gordonem, jak również z psami ras innych polować zamierzałem, przechodziły one najpierw u mnie, począwszy już od czwartego miesiąca ich wieku, pewnego rodzaju przygotowawczy trening, w czem był mi pomocny zwykły rower. W początkach brałem młode psiaki na krótkie wycieczki — najpierw zwykłe — piesze, a następnie dopiero — rowerowe, które stopniowo, a bardzo pomału przedłużałem, powiększając również po mału i szybkość jazdy. Postępowałem w czasie podobnych treningów zawsze jaknajoględniej, ażeby młodych moich psiaków w żadnym razie nigdy zbytnio nie przemęczyć, gdyż jednorazowe nawet, a nadmierne przemęczenie, zwłaszcza przy jeździe rowerowej, tak szczenięciu zaszkodzić może, że raz na zawsze przednie swe łapy przeforsuje i zdolność do przyszłej polnej swej pracy — na dobre utraci. W początkach więc, zależnie od wieku psiaka, rozpoczynałem ów trening najwyżej do jednego kilometra raz dziennie, następnie dopiero po paru dniach takich kilometrowych, bardzo powolnych przejażdżek, odbywałem wycieczki nieco już dalsze i t. d., aż wreszcie dochodziły one do kilku, a w końcu i więcej kilometrów w zmiennej szybkości, którą stopniowo i bardzo powoli coraz to bardziej zwiększałem. Zważać przytem koniecznie należy, ażeby w czasie tych wycieczek, kurz z pod kół rowerowych nie dął psu nigdy w stronę pyska, co dla płuc jego jest bardzo szkodliwe.

Tego rodzaju trening, nie tylko samym psiakom znakomicie na dobre wychodził, lecz również i ja z podobnych, systematycznych wycieczek widocznie skorzystałem, bo choć bez mała szósty krzyżyk na swych barkach już dźwigam, to jednak jakoś dość dobrze w polu chodzić jeszcze mogę, bylem tylko miał dobrego psa, dobry humor i zasobny w ptactwo teren. Prócz tego dbałem zawsze, ażeby moje młodociane pieski w miarę, lecz jaknajposilniej były karmione, nie żałując im naturalnie przytem odpowiedniej, codziennej dawki surowego, wołowego mięsa i miękkich, cielęcych kości, gdyż pies za młodu zaniedbany i zabiedzony — prawidłowych w przyszłości usług nigdy myśliwemu oddawać nie może!

Polując w czasie skwarnych dni, czy to z gordonami, czy też z innymi psami, starałem się zawsze, jeśli to tylko było możliwe, podchodzić jaknajczęściej z nimi do wody, ażeby z przyczyny pragnienia nie cierpiały, i po przebytych, uciążliwych trudach mogły choć chwilę podczas takich kąpieli wypocząć. Nie tylko gordonom było to miłe, każdy bowiem z mych różnorodnych legawców, jakie w ciągu kilku dziesiątek lat posiadałem, po należytej kąpieli i zaspokojeniu pragnienia, swem skomleniem, oraz odbieganiem od miejsca chwilowego spoczynku — jakby zapraszał do dalszej w polu roboty.

Przytaczam powyższe dane z własnej swej, wieloletniej praktyki myśliwskiej w tym głównie celu, że zarzuty stawiane gordonom, jakoby z przyczyny ich nadmiernego temperamentu zbyt prędko się męczyły i w prawidłowej swej pracy zbyt prędko ustawały, — nie zupełnie są słuszne. Być łatwo może, że ten lub ów osobnik, należycie wpierw nie wytrenowany, lub wreszcie zapasiony, czy też na odwrót — zabiedzony, męczył się rzeczywiście w czasie forsownej swej pracy zbyt prędko i wreszcie w polu ustawał, gdy jednak pożywnie i w miarę był odżywiany, oraz umiejętnie zawczasu przetrenowany, wtedy, jak się

przekonałem, nie wiele ustępował w szybkości obkładania pola i w swej wytrzymałości nawet pointerom zaliczanym powszechnie do najszybszych i najwytrzymalszych w polu legawców. Pozatem prawdziwie rasowy gordon przewyższał znacznie swą inteligencją, oraz pojętnością inne angielskie legawce, a dlatego znacznie łatwiej dał się od nich ułożyc i wytresować, byle tylko nie za późno wziąć się do tego, a o tem miałem możność niejednokrotnie się przekonać, obserwując swoje gordony i psy ras innych. Że w ostatnich latach przeszedłem jednak do pointerów, to jedynie tylko z musu, gdyż w braku gordonów, są pointery dla istniejących u nas, myśliwskich warunków jeszcze najodpowiedniejsze i rzeczywiście szkoda stała się wielka, że te właśnie gordony, tak po macoszemu u nas potraktowano, gdyż bezwarunkowo na to nie zasłużyły.

W myśl wyżej wypowiedzianego, przyklasnąć tylko należy panu T. Marchlewskiemu, projektującemu energicznie zająć się u nas podźwignięciem tej pięknej, a zarazem tak bardzo dla naszego myślistwa nadającej się rasy, która bez wątpienia zapewniłaby w przyszłości naszemu łowiectwu rzetelne i trwałe usługi.

Podobne przedsięwzięcie nie jest oczywiście tak proste i łatwe, wymagać bowiem będzie pewnego nakładu w wynalezieniu odpowiednich par zarodowych, pewnej znajomości hodowlanej oraz czasu, sądzę jednak, że wspólnemi siłami ludzi chętnych, wszelkie pietrzące się na tej drodze trudności przezwyciężyć by dość łatwo można, na czem zyskałaby oczywiście nasza polska kinologja, która jak dotąd, poszczycić się, niestety, nie może własną swą rasą psów legawych i wciąż jeszcze korzysta tylko z importów sprowadzanych z obcych krajów, za bardzo drogie pieniądze.

Nie lekceważmy więc rad i poglądów tak światłego znawcy-kinologa, jakim jest prof. T. Marchlewski, i zabierzmy się możliwie jaknajprędzej do umiejętnej regeneracji gordonów, które to psy przed niedawnymi jeszcze czasy, tak popularne i słynne, nie wiedzieć właściwie dalczego, tak zaniedbano. Sądzę, że i w tym wypadku odegrała najgłówniejszą rolę znowu ta nasza zbytnia pochopność do wszystkiego co zagraniczne, nowe i modne, — nie zaś, co rzeczywiście lepsze!

Turek z. kaliskiej.

EMIL KARNEY.

FLIRT Z ORNITOLOGJĄ.

Powiedzieli bracia Tharaud w przedmowie do książki,*) o której pomówimy, że jeśli chodzi o literaturę na tematy zwierzęce, spotyka się ona we Francji z mniejszem niż gdziekolwiek, zainteresowaniem. Stwierdzają fakt inny: w literaturze anglosaskiej te właśnie tematy stanowią niejako osobny, obszerny i doskonale reprezentowany dział. Choćby te dwa nazwiska w ostatnim czasie: — Jack London i J. O. Curwood, nazwiska znane na cały świat, — pierwszy wplata motywy zwierzęce, często obiera je sobie za wyłączny temat; dla drugiego są one zasadniczą podstawą twórczości. Nie potrzebuję chyba dodawać, czytelnicy wymienionych autorów sami najlepiej o tem wiedzą, ile wspomniane przedmioty opowiadań bliskie są łowiectwu w nowoczesnem jego ujęciu, gdzie to, co tyczy życia przyrody, a zwłaszcza zwierza, nie może być obce, nie powinno myśliwemu być nieznane, gdzie polowanie rozumie się jako formę bliskiego stosunku do otaczających tajemnic natury, jako wypełnianie jej odwiecznych praw, o zgłębienie których człowiek nieustannie zabiegać winien, pamiętając, że mści się zadany im gwałt.

Trzeba przyznać rację braciom Tharaud, że powód różnicy produkcji wydawniczej omawianego zakresu, jaka uwidacznia się statystycznie bardzo jaskrawo na korzyść anglosasów (prym na cały świat trzymają niemcy) nie jest w prostym stosunku do kwestji popytu na literaturę zwierzęcą we Francji, bo popyt ten istnieje w większym jeszcze rozmiarze, niżby to można powiedzieć o Polsce. (Mój egzemplarz książki p. Delamain, wydanej po raz pierwszy w połowie r. 1929, nosi znamię 19-go wydania!). Należy szukać go głębiej, w ustroju kultury francuskiej, zwracającej umysły wszystkich twórców raczej w kierunku zagadnień związanych z człowiekiem i jego dziełem, odciągając ich tem samem od wyłącznej kontemplacji przyrody, jej sił, jej tajemnic.

Tem większe zainteresowanie należy się nielicznym (współcześnie) pozycjom literatury myśliwsko-przyrodniczej, zwłaszcza jeśli, jak to ma miejsce w cytowanej książce, porusza ona temat nawskroś oryginalny i powiedzmy zgóry, porusza go w sposób umiejętny, zajmujący, a tem samem ze wszechmiar pożyteczny.

Zadanie, jakie sobie p. Jacques Delamain postawił, określone tytułem książki: „Czemu śpiewają ptaki", nie było proste.

Wrodzone zamiłowanie do obserwacji, zamiłowanie par excellence łowieckie, kilka tomów ornitologów, angielskich i amerykańskich, przestudjowanych z zapałem, dobra lornetka, — oto wyposażenie p. Delamain na codzienne przez wiele lat wyprawy, niedalekie, w podwórze, nad staw, do lasu, przy ogrodzie, dzięki którym, patrząc tylko uważnie na dostępny nam wszystkim świat ptaków najmniejszych, poznał jego obyczaje, jego życie i prawa, życiem tem kierujące, lepiej, niż niejeden naukowiec, który oblicza ilość piór w ogonie i zawartość żołądka w chwilę po ubiciu pięknego okazu.

Książka jego nie jest notatnikiem obserwacyj, jest ich inteligentnym komentarzem, jest, na podstawie świetnej, wieloletniej znajomości, powiedzmy poprostu, „psychologji" ptasiego społeczeństwa, rozwiązaniem szeregu zagadek z ich życia tak indywidualnego, jak i zbiorowego (ileż materjału dla socjologa zwierząt!), jest odpowiedzią na pytania, które przywykliśmy uważać za nierozwiązalne i których dzięki temu, nie stawiamy sobie już zupełnie! Delamain łączy

*) Jacques Delamain — Pourquoi les oiseaux chantent. Paris, 1929.

odruchy maleńkich ptasząt z wielkimi problemami biologji, przeprowadza dociekłe porównania, rzutuje wyniki swoich spostrzeżeń na ekran wieczystych zagadnień życia, miłości i śmierci, podchodząc ku nim swoją metodą bliżej może, niż niejeden filozof, spleśniały w ciasnych bibljotekach i laboratorjach.

Autor „Pourqoi les oiseaux chantent" ma swego wielkiego poprzednika, a jest nim ornitolog angielski, Edmund Selous. Oto co o nim pisze: „Dzieło jego było dla mnie rewelacją, ponieważ znalazłem w niem czynnik niespotykany nigdzieindziej — **absolutne poszanowanie życia,** negatywny stosunek do wszelkiego zabijania dla celów naukowych. Nawet w kraju, gdzie t. zw. field-naturalist (t. j. przyrodnik, studjujący życie natury na gorąco, nie transplantując, tam, gdzie ona jest, że tak powiem „u siebie") więcej jest poważany niż we Francji; metoda Selous'a i jego wyniki zostały zaszczepione, zwalczane! Nauka muzeów, którą potępił bez litości, ponieważ karmi się ona rzeziami, chciała zdławić jego wystąpienie, — gdy tymczasem ostatnia praca Selous'a „Realities of bird life", jemu przyniosła zwycięstwo!

W książce Delamain'a, którą przepaja głębokie umiłowanie przedmiotu, niema — to jeszcze należy podkreślić — nic z uciążliwości traktatu naukowego; tok opowiadania swobodny i lekki, pozwala bez znużenia śledzić za autorem obrazy z życia tych istot, jakie nas wokół nieustannie otaczają, a jakich niemal nie znamy, mimo iż są one m. i. nieodłącznym czynnikiem piekna przyrody, że nadają jej tło, że od ich zachowania zależy prawie jej nastrój, bo są pierwszymi zwiastunami wszelkich w niej zmian.

Notatki z życia ptaków, tych pospolitych, drobnych mieszkańców wszystkich krzy, miedz, poddaszy, wreszcie pól, pobrzeży rzek, jezior, lasów, radości i smutki różnych trznadli, pliszek, wilg, rudzików, dzwońcy, sikor, zimorodków czy jaskółek, ich wzajemne przyjaźni i kłótnie, ich upodobania i niechęci — barwną mozaiką układają się w treść tej książki, łatwiej, beztrosko a mądrze wnikającej w skryte sprawy ptaszych serc, drobiazgowością nie nużą, że bez przesady można ją nazwać w czytaniu flirtem — flirtem z ornitologją.

Na zakończenie daje nam Delamain dzieje obserwowanej wnikliwie, z dnia na dzień, pary jastrzębi (Busard Montagu), które się wchłania jak piękną nowelę z życia ptaków, w opisach podobną może urywkom Hermana Löns'a.

Ci z nas, których wprowadził już w ten świat skrzydlaty, naukowiec ścisły, Taczanowski, i bardziej literacki, w najlepszem znaczeniu, Wodzicki, wszyscy miłośnicy życia przyrody, z prawdziwą przyjemnością przeczytają wyczerpującą, a piękną odpowiedź na pytanie, błahe napozór: — czemu śpiewają ptaki?... — ale kryjące wszystką ich tajemnicę, wszystką treść i istotę.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.

Paryż.

SPORT STRZELECKI W SZWAJCARJI.

Kto bawiąc w Szwajcarji, robił wycieczki w góry w dnie niedzielne, tego z pewnością uderzyła rozlegająca się nieraz, gęsta strzelanina karabinowa; każdy brał to jako odwieczny, rodzinny tego narodu sport i zamiłowanie.

Tymczasem są to żołnierze miejscowego garnizonu i landwery, którzy na miejscowych stendach pod odpowiednim nadzorem muszą odrobić swoje przepisane strzelanie (rocznie 150 strzałów ostrymi ładunkami na osobę). Oprócz tego odbywają się co roku w lecie manewry połączone ze strzelaniem ostrem (piechota, karabiny maszynowe, artylerja) w wysokich Alpach na włoskiej granicy, niezależnie od wielkich manewrów jesiennych.

Że szwajcarzy dumni są ze swego zwycięstwa na wszechświatowym konkursie w Sztokholmie, nie potrzeba dodawać.

Jak wiadomo, składa się szwajcarska armja z milicji po za niewielką liczbą zawodowych żołnierzy. Stąd pochodzi, że się tutaj często widzi ludzi w cywilnem ubraniu z przewieszonym przez ramię karabinem służbowym.

Prócz tego egzystują liczne bardzo strzelnice, które przez kantony są subwencjonowane; ponadto powstały po wojnie liczne związki dla nauki strzelania dla chłopców, jako przygotowanie do odbycia powinności wojskowej dla dwóch najwyższych klas szkół ludowych.

W pierwszych dniach września r. z. odbywało się w Zurichu strzelanie młodzieży w liczbie 2700 chłopców. — Było to święto, które całe miasto przez 3 dni obchodziło ku oburzeniu komunistów i socjalistów na ten „militaryzm najgorszego gatunku".

Jednak duch, który od sześciuset lat panuje w Szwajcarji, nie da się wzruszyć. Zamykając strzelanie, dyrektor powiedział:

„Zarzut szerzenia militaryzmu wśród młodzieży odpychamy z oburzeniem; jednego nie pozwolimy dotknąć, to, naszej wolności i niezależności. Ztąd nasze ludowe wojsko i wrodzone nasze zamiłowanie do broni, które ma służyć dla obrony naszej pięknej Ojczyzny. Tę wolę i tę świadomość, że im większe są prawa, tem większe muszą być obowiązki, musimy naszej młodzieży zaszczepiać jako „niewzruszoną zasadę".

I tak to szlachetny sport strzelecki rozwija się i kwitnie w pięknej Szwajcarji, rozwijając dzielność wśród młodzieży, na oczach ludności każdego miasta czy miasteczka, która z tej okazji organizuje pochody ze sztandarami, muzyką, śpiewami etc.

I tak w Szwajcarji w każdem mieście i mieścinie... A u nas?

W. S.

WOLNA TRYBUNA.

WNIOSEK.

W celu skuteczniejszej walki z nielegalnym handlem zwierzyną, należałoby wprowadzić przymus plombowania wszelkiej zwierzyny, która bez odpowiedniej plomby byłaby uważaną za zabitą nielegalnie i ulegałaby konfiskacie. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży skonfiskowanej zwierzyny szłyby na rzecz podniesienia łowiectwa.

Sprzedaż wszelkiej, bez wyjątków, bitej zwierzyny oraz jej skórek bez plomby musiałaby być wzbronioną. Zwierzyna bez plomby ochronnej podlegałaby konfiskacie przez organy policji państwowej oraz osoby powołane i upoważnione do ochrony zwierzyny i przepisów ustawy łowieckiej.

W powyższym celu wraz z kartą łowiecką każdy myśliwy musiałby wykupić szczypce z wyciętymi znakami, którymi zaciskałby plombę. Z jednej strony byłyby początkowe litery starostwa i województwa, z drugiej godło państwowe.

W razie niewykupienia karty łowieckiej w następnym roku, szczypce do plombowania myśliwy winien byłby zwrócić. Gdyby zwrot nie nastąpił w przewidzianym terminie, szczypce do plombowania odbierałaby przymusowo policja państwowa.

Konieczność wprowadzenia plombowania motywuję tem, że obecnie policja państwowa jest bezsilna w walce z kłusownictwem, nie z braku dobrej woli, lecz wskutek innych przyczyn.

Kłusownik, a często i posiadacz legalny broni, lecz nieposiadający karty łowieckiej, włóczy się po cudzych terenach, które zna napewno lepiej, niż prawny właściciel, więc każdy krzak i nierówność terenu wykorzysta, aby być niewidzianym przez nikogo. Taki kłusownik napewno spostrzeże wcześniej policjanta, niż policjant jego, i zawsze zdąży wsadzić gdzieś strzelbę i pójść dalej z miną niewiniątka. Czasami gdzieś przycupnie i wyczeka, nim osoba groźna dla niego pójdzie dalej. Właściciele terenów lub dzierżawiący je często boją się, poniekąd zupełnie słusznie, zaczepiać kłusowników, w obawie, żeby im nie spalono budynków, lub nie narzucano trutek dla psów myśliwskich. Gorszą bodaj jeszcze plagą od kłusowników włóczących się z bronią, są pętlarze, którzy pętlami i siatkami mogą w przeciągu jednego sezonu wyniszczyć prawie doszczętnie zające, cietrzewie, a bezwzględnie co do jednej, kuropatwy.

Z powodu tego, że ten proceder, jak wykazuje obserwacja, jest wykonywany w znacznej mierze przez niedorostków 15 — 16 letnich, o których trudno myśleć, że są już kłusownikami, więc tembardziej łatwo wymyka się z pod kontroli organów policji państwowej. Jedyną racją, która podtrzymuje kłusownictwo, jest chęć zarobku na rzeczach cudzych. Gdyby kłusownik czy pętlarz nie mógł sprzedać zwierzyny, zarzuciłby napewno swój niezaszczytny proceder. Kłusownik bije lub łowi zwierzynę nie dla własnej przyjemności, lub dlatego, aby samemu ją zjeść, lecz by sprzedać.

W celu podniesienia łowiectwa i zwierzostanu należy wytępić kłusownictwo, organizując ścisłą kontrolę bitej zwierzyny oraz skórek ze zwierzyny.

W tym celu każda zwierzyna czworonożna musiałaby być zaplombowaną przez ucho, albo przez wargę, a ptak przez dziurki w dziobie. W ten sposób, nawet w pracowniach wyprawiających skórki, byłaby jeszcze możliwą kontrola i ustalenie, czy zwierzyna została zabitą przez osobę uprawnioną.

Obecnie praktykowany sposób kontroli na targach bitej zwierzyny nie daje nic, ponieważ tam spotyka się zwierzynę upolowaną legalnie, przez myśliwych posiadających wszelkie prawa do polowania. Kłusownik na targ zwierzyny nie pokaże.

Są handlarze, przeważnie żydzi, zajmujący się specjalnie skupem zwierzyny. Taki przekupień jeździ od wsi do wsi, od kolonji do kolonji i skupuje zwierzynę. Spotkawszy policjanta, wymienia jakiegoś myśliwego zamieszkałego o 10 — 15 klm., o którym wie, że policjant zna go ze słyszenia, że on jest prawdziwym myśliwym, i powiada, że od takiego to myśliwego nabył zwierzynę. Policjant mając nawał pracy, nie pójdzie o 15 klm. pytać, czy tam rzeczywiście zwierzynę sprzedano takiemu to handlarzowi i w jakiej ilości.

Tembardziej nie będzie sprawdzał, czy dzieje się to w czasie dozwolonym na bicie tego rodzaju zwierzyny.

Gdyby był przymus plombowania, policja miałaby ułatwioną i faktyczną możność kontroli na targach, na stacjach kolei żelaznej, po sklepach w miastach, nawet w garbarniach wyprawiających futra.

Skonfiskowanie kilkakrotne u handlarza zwierzyny pochodzenia nielegalnego t. j. bez plomb, spowodowałaby to, że ten nie kupowałby zwierzyny nieplombowanej i kłusownik, nie mogąc zbyć zwierzyny, musiałby wreszcie zaniechać swego haniebnego procederu.

Możliwe, że jakiś kłusownik podrobi szczypce do plombowania, bo przecież podrabiają nawet banknoty Banku Polskiego, ale to już zupełnie inna sprawa. Natomiast bardzo wątpię, by się znalazł taki wyrodny syn Nemroda, któryby użyczył swoich szczypców do zaplombowania nielegalnej zwierzyny nabytej przez handlarza.

Koszt szczypców nie przekroczyłby 6 złotych przy masowych zamówieniach, więc dla każdego myśliwego, który wydaje conajmniej kilkadziesiąt złotych na pozwolenie na broń, kartę łowiecką, dzierżawienie terenów, utrzymanie choć jednego psa i t. d., te kilka złotych nie zrobiłoby wielkiej różnicy. Zresztą ten wydatek sowicie po paru latach opłaciłby się, ponieważ zwierzostan wzrósłby odrazu kolosalnie. Pozatem znaczne zyski ze sprzedaży skórek lisich, wydr, kun, tchórzy, łasic i t. p. osiągają kłusownicy i nieletni chłopcy, zastawiający rozmaite pułapki i w ten sposób nabierający nałogów kłusownika, a myśliwy, który dzierżawi tereny, nieraz za grube pieniądze, ma wyłapaną najcenniejszą zwierzynę. Myśliwy dzierżawiąc teren, nabywa prawa do wszel-

kiej zwierzyny znajdującej się na nim, i może żądać, by to prawo było ochraniane i nienaruszane przez wyłapywanie jakiejkolwiek bądź zwierzyny przez kogokolwiek innego.

WŁADYSŁAW GORSKI.
Delegat na pow. Brasławski.

Sprawa niedostateczności przepisów mających na celu walkę z nielegalnym handlem zwierzyną, poruszoną jest słusznie. Czy jednak proponowane jej załatwienie nie okazałoby się z różnych powodów w praktyce nieskuteczne i uciążliwe, i czy raczej nie należałoby się ograniczyć do postanowień, że na sprzedaż zwierzyny mają prawo jedynie posiadacze kart łowieckich oraz osoby, które na taką sprzedaż (handel) uzyskały specjalne zezwolenie władz, jak to było w pierwotnym projekcie prawa łowieckiego, to kwestja, która wymagałaby szczegółowego rozważenia. Wskazaną byłaby polemika na ten temat.

Przyp. Red.

Z WOJSKOWEGO TOW. ŁOW.

W dn. 10 b. m. o g. 18 w Kasynie Garniz. w Warszawie, Al. Szucha 23, odbędzie się walne zebranie.

Z TOW. HODOWLI PSÓW MYŚL.

Uroczyste otwarcie Żółtej Karczmy.

Uroczyste otwarcie znakomicie prosperującego zakładu hodowli i tresury psów myśliwskich „Żółtej Karczmy" nastąpi **w dniu 18 maja** r. b. na miejscu w Służewie. Przewidywany program uroczystości, który w razie potrzeby może jeszcze ulec pewnym zmianom, ma być następujący:

1) O godz. 8—9 rano solenne nabożeństwo w kościele w Służewie za pomyślność rozwoju Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich,

2) o godz. 10 rano Walne Zebranie członków Towarzystwa z porządkiem dziennym:

a) przyjęcie nowych członków,
b) wybór jednego członka zarządu,
c) sprawozdanie z działalności T-wa za rok ubiegły.
d) wolne wnioski,

3) o godz. 10 m. 30 nadzwyczajne posiedzenie zarządu Towarzystwa celem wyboru prezesa,

4) o godz. 11 otwarcie uroczyste Żółtej Karczmy,

5) o godz. 11 m. 15 pokaz zakładu, tresury i t. p.

Udział w otwarciu za osobnemi zaproszeniami, które dla członków i gości roześle sekretarjat Tow.

Dojazd na miejsce samochadami lub tramwajami Nr. 1, 12 i 19.

Otwarcie wystawy psów.

Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich wraz ze Związkiem Hodowców Psów Rasowych urządzają **w dniach 24, 25, 26 i 27 maja** wystawę psów w Warszawie na terenie ogrodu Bagatela ul. Bagatela Nr 3, na co zezwolenie właściwych władz zostało już uzyskane.

Bliższe szczegóły dotyczące wystawy, będą podane w „Łowcu Polskim" i „Łowcu" oraz prasie codziennej.

Narazie podajemy jedynie, że władze udzielając zezwolenia na urządzenie wystawy, zastrzegły, że:

1) wszystkie sprowadzone (przywiezione) na wystawę psy winny być zaopatrzone w świadectwa zdrowia przez właściwego powiatowego lekarza weterynaryjnego i znak rejestracji, o ile w danej miejscowości są wydane odpowiednie zarządzenia,

2) wszystkie psy winny być w Warszawie przed wprowadzeniem na teren wystawy zbadane co do stanu zdrowia i miejsca pochodzenia przez powiatowego lekarza weterynaryjnego Starostwa Grodzkiego Warszawa — Południe.

Podczas trwania wystawy sprowadzone psy będą podlegały nadzorowi wspomnianego lekarza weterynaryjnego.

Informacji można zasięgnąć w Towarzystwie Hodowli Psów Myśliwskich Warszawa Nowy Świat 35 oraz w Związku Hodowców Psów Rasowych Warszawa, Kopernika 30.

Kronika myśliwska.

Sprawozdanie z polowań na zające z naganka na terenach Klubu Myśliwskiego w Ostrowie Wlkp:

Dnia 3.12.1929 r. opolowano las Mikstat: w 12 strzelb ubito 18 zajęcy. Królem polowania p. Kryszkiewicz, mając na rozkładzie 4 sztuki.

Dnia 6.12.1929 r. opolowano gminę Nabyszyce, w 16 strzelb, ubito 35 zajęcy. Królem polowania p. Jankiewicz, mając na rozkładzie 6 sztuk.

Dnia 10.12.1929 r. opolowano gminę Zacharzew, w 15 strzelb, ubito 60 zajęcy. Królem polowania p. Kłokowski, mając na rozkładzie 9 sztuk.

Dnia 13.12.1929 r. opolowano gminę Krępa w 15 strzelb, ubito 86 zajęcy. Królem polowania p. Kłokowski, mając na rozkładzie 11 sztuk.

Dnia 20.12.1929 r. opolowano gminę Pruślin, w 8 strzelb, ubito 17 zajęcy. Królem polowania p. Kryszkiewicz, mając na rozkładzie 7 sztuk.

Dnia 27.12.1929 r. opolowano gminę M.-Topola, w 9 strzelb, ubito 28 zajęcy. Królem polowania p. Opieliński, mając na rozkładzie 8 sztuk.

Ogółem polowano przez 6 dni, strzałów dano razem 647, a ubito 244 zajęcy.

Pomimo poprzedniej ostrej zimy, ogólny stan zwierzyny jest lepszy niż poprzednie lata. Tereny, na których polowano, są to gminne polowania, mające razem 3.600 ha. obszaru, a w tem 750 ha. lasu. Klub objął tereny te w bardzo wyniszczonym stanie, a przez racjonalną opiekę Klubu, a szczególnie łowczego p. Wańka, polepsza się stan zwierzyny z roku na rok.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Franciszek Rawita Gawroński, utalentowany, płodny autor powieści obyczajowych, świetny historyk spraw ukraińskich, wybitny publicysta, zmarł dn. 16-go u. m. w Józefowie pod Otwockiem.

Zajmował się także sprawami łowieckiemi, drukując swe prace w „Łowcu Polskim".

Urodzony w roku 1846 w Stepaszkach, w guberni kijowskiej, ukończył szkołę średnią w Kijowie, poczem przeniósł się do Małopolski Wschodniej, gdzie odbył studja w wyższej szkole rolniczej w Dublanach, a następnie kształcił się w Wiedniu. W młodości ogłosił drukiem szereg prac z zakresu rolnictwa.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

— **O zabitym niedźwiedziu na Kresach Wschodnich.** — Pisma codzienne w ostatnich kilku tygodniach żywo komentowały fakt zabicia w czasie ochronnym niedźwiedzia. Po zbadaniu sprawy u źródła, możemy zakomunikować, że aczkolwiek niedźwiedź zabity został w połowie lutego, gdy czas ochronny na niedźwiedzie na Polesiu rozpoczyna się od 16 stycznia, niemniej w roku bieżącym termin ten został zmieniony, wobec czego niedźwiedź zabity został legalnie. Nadmienić również musimy, że stan niedźwiedzi na kresach w ostatnich latach znacznie się poprawił: w roku 1926 było 6 barłogów, a w roku 1930 jest ich 11.

— **O rezerwat dla żubrów.** — W sprawie powyższej głos zabrał wielki łowczy z Wielkopolski, p. Władysław Janta-Połczyński. W pismach bowiem zjawiła się następująca wiadomość:

„Min. Rolnictwa postanowiło utworzyć w obrębie poznańskiej dyrekcji lasów państwowych drugi rezerwat żubrowy ;pierwszy, jak wiadomo, istnieje od dwu lat w puszczy Białowieskiej na terenie 25 ha, ogrodzonych siatką. Rezerwat poznański będzie utworzony w najbliższym czasie na miejscu wskazanem przez dyrekcję lasów poznańskich. Do rezerwatu tego ministerjum rolnictwa przekaże młode żubry, które obecnie w liczbie trzech przebywają w warszawskim ogrodzie zoologicznym. Również poznański ogród zoologiczny wyraził życzenie odstąpienia dla nowoorganizowanego reezrwatu w Poznańskiem, trzech młodych żubrów. W ten sposób ochrona i pieczołowitość, jaką władze polskie otaczają żubry, przyczyni się nietylko do zachowania tego rzadkiego zwierza, prawie że całkowicie wytępionego w puszczach polskich w czasie wojny, ale i do jego rozmnożenia".

Na to wspomniany p. wielki łowczy ogłosił list tej treści:

„Min. Rolnictwa, uznając niebezpieczeństwo, jakie spoczywałoby dla białowieskich żubrów w razie wybuchu tamże zarazy bydlęcej, postanowił, za radą Oddziału Polskiego Międzynar. Tow. Ochrony Żubra, utworzyć drugi rezerwat, na który przewidziane jest nadleśnictwo Zielonka pod Murowaną Gośliną w woj. poznańskiem. Do rezerwatu tego, mającego wszelkie warunki pomyślnego rozwoju dla tak cennego zwierzęcia, przeniesione być mają trzy żubry znajdujące się w ogrodzie zoologicznym w Warszawie. Poznański ogród zoologiczny co do oddania swej pary (trzeci sprzedany został we wrześniu z. r. Min. Rolnictwa) nie powziął dotąd żadnej decyzji. Przypuszczać jednak można, że ze strony zarządu poznańskiego zwierzyńca, gdy odnośna władza przystąpi z tą propozycją, nie spotka się żadna opozycja. Zarząd bowiem już dawno uznał niewłaściwość trzymania nadal żubrów w tutejszym zwierzyńcu, powodującego ich bezpłodność i degenerację".

— **Radjo w Zwierzyńcu.** — Dnia 24 kwietnia Radjo Polskie urządziło „Dzień Poznania". W programie tego „dnia" figurowała oryginalna audycja, w czasie od godziny 15-ej min. 45 do godz. 16-ej min. 15. Nosiła ona tytuł następujący: „Zwierzyniec poznański przemawia. — Reportaż z ogrodu zoologicznego z ilustracją słowną artysty teatru Wielkiego w Poznaniu, p. B. Folańskiego".

— **Walka z kłusownictwem.** — Towarzystwo racjonalnego myślistwa w Łodzi wprowadziło żetony złote i srebrne dla policjantów, którzy przyczyniają się do tępienia kłusownictwa. Rozdawane one będą w porozumieniu z komendą policji. Za racjonalną walkę z kłusownictwem Towarzystwo obdarzyło mandatem honorowego prezesa starostę pow. łódzkiego, p. Aleksego Rżewskiego.

— **Ze zwierzyńca poznańskiego.** — Z informacyj „Dzien. Pozn." czerpiemy następujące szczegóły:

Do Zwierzyńca przybył transport nowych zwierząt, powiększając liczną rodzinę o strusia afrykańskiego z Somali, „wodoświnię" kapibarę, parę jeleni bengalskich, żórawia indyjskiego, antylopę białoczelną z Afryki, borsuka i orła.

Oprócz tych nowych okazów zasługuje także na specjalną uwagę dużo młodych zwierząt, które w ostatnich czasach ulęgły się w zwierzyńcu. Najpierw należy tu wymienić cztery młode tygrysy bengalskie, które obecnie liczą 11 tygodni i same już piją mleko i jedzą mięso, a swą kocią zabawą ściągają liczne rzesze ciekawych. Pomiędzy małymi drapieżcami widać pod opieką troskliwej matki 2 maleńkie oceloty, rodzaj dzikich kotów Ameryki południowej. Wychowanie młodych tygrysów i ocelotów należy do bardzo rzadkich, radosnych wypadków w Ogrodach Zoologicznych. Stąd też poznański Zwierzyniec dumny być może z tego rodzaju sukcesów. W słoniarni prezentuje się urodzony w lipcu ub. r. młody kangur olbrzymi, który dopiero teraz wychyla się bojaźliwie z torby na podbrzusu swej matki. Młoda świnka pekari skacze pociesznie i bawi się ze swymi rodzicami. Na sztucznem alpinarjum uwija się parka młodych owiec grzywiastych, wykonując zgrabne skoki z kamienia na kamień. W małpiarni można się przekonać o prawdziwej miłości małpiej dwóch matek, które ustawicznie tulą swe młode do piersi i nie pozwalają im się ani na krok oddalić. Pozatem widzimy we wszystkich klatkach, zagrodach i na stawach pełno licznych i ciekawych okazów, których ogólna liczba dawno przekroczyła pierwszy tysiąc, bijąc pod tym względem rekord od czasów przedwojennych.

— **Wartość futer.** — Niedźwiedzia białego, czyli polarnego, wielkie okazy dochodzą do 3 metrów długości. W handel przychodzą skóry, starannie zdjęte wraz z pazurami i z czarnym nosem, i są używane wyłącznie na dywany, często z wypchaną głową. Najpiękniejsze okazy pochodzą z Grenlandji. Niedźwiedzia brunatnego futro jest ciepłe, ale ciężkie; służy na fartuchy do okrywania nóg w saniach. Niedźwiedzia czarnego niektóre odmiany mają białą plamę na podgardlu, pozatem futro jednostajnie czarne.

Futro, nieco delikatniejsze i lżejsze niż u niedźwiedzia brunatnego, służy na futra podróżne.

We Francji, Anglji i w Belgji spożywają wielkie ilości królików, a skórki są poważnym przedmiotem handlu. Z wyjątkiem białych futerek, farbuje się i strzyże królicze futerka na przeróżne imitacje lub barwy fantastyczne. Ażeby dać pojęcie o wielkości tego przemysłu, wystarczy przytoczyć, że Francja i Belgja produkują około 50 miljonów skórek króliczych rocznie, nie licząc 20 miljonów skórek z dzikich królików, które dostarcza Australja, dokąd sprowadzono króliki dzikie przed kilkudziesięciu laty dla celów myśliwsko-sportowych i gdzie rozmnożyły się tak szalenie, że stały się prawdziwą plagą kraju.

— **Myślistwo w Rumunji.** — Przed wojną nieznane było zupełnie w Rumunji pojęcie prawidłowego łowiectwa. Obecnie natomiast myślistwo w Rumunji jest wzorowo zorganizowane, a tereny przedstawiają wysoką wartość. Zawdzięcza to się pracy osobistości dobrze znanej w świecie myśliwskim na Wschodzie Europy. Mowa tu o prof. d-rze Nedici, radcy dworu i generalnym inspektorze myślistwa, który po wojnie światowej powrócił z Węgier do swej ojczyzny, Rumunji. Jako wybitny fachowiec myśliwski, o dużej praktyce i wielkiem umiłowaniu zwierzyny, oraz człowiek żelaznej woli, zdołał uregulować nieuporządkowane stosunki myśliwskie w Rumunji. Jest on też twórcą rumuńskiego prawa o ochronie i hodowli zwierzyny, które jest oparte na najnowszych doświadczeniach i nietylko nakłada na myśliwych i właścicieli ziemskich niepolujących — obowiązek racjonalnej hodowli zwierzyny, lecz także zmusza do tworzenia idealnych pod względem konstrukcji, Towarzystw łowieckich.

Założył też szkołę z kursem dwuletnim, dla kształcenia wyższego i niższego personelu myśliwskiego. Jest to szkoła państwowa, bezpłatnie kształcąca zawodowych myśliwców.

— **Wilki w Niemczech.** — Dn. 15 marca, na polowaniu z naganką w nadleśnictwie Puppen w Prusach Wschodnich, ubito sporą waderę. — Dn. 17 marca w nadleśnictwie niemieckiem Rominten, na polowaniu z naganką, ujrzano za rudlem jeleni — wilka tak małego, że początkowo zdaleka wzięto go za cielę jelenie. Ostrzeliwany zdołał jednak umknąć, lekko farbując. Dopiero 20-go marca wytropiono wilka tego i ubito go.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

— **Sprawozdanie Ligi Ochr. żubra.** — W Berlinie wyszło po niemiecku „Sprawozdanie Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra", wydane nakładem Tow. Sprawozdanie napisał dr. Hermann Pohle. Data wydania: 8.III.1930 r.

Na wstępie podano listę komitetu za rok 1928. Honorowym prezesem komitetu jest F. E. Blaauw z miejscowości Gooilust. Następujące kraje mają po 1 przedstawicielu w komitecie: Bułgarja, Danja, Gdańsk, Anglja, Finlandja, Holandja, Włochy, Łotwa, Austrja, Polska (Wł. Janta-Połczyński), Rumunja, Rosja, Szwecja, Szwajcarja, Czechosłowacja, Węgry, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Delegatem „Stanów" jest dr. T. Ahrens, czasowo przebywający w Berlinie.

Śród tych „krajów" nie wymieniono wcale Niemiec. Dlaczego? Natomiast „referentami fachowymi" w liczbie 7, oraz członkami komisyj hodowlanej i prasowej, w liczbie 6, — są sami niemcy.

Po szczegółowem sprawozdaniu z czynności podano listę członków, obejmującą 476 nazwisk.

— **Myślistwo Ksenofonta.** — „Bibljoteka Narodowa" w Krakowie wydała niedawno tłumaczenie szeregu prac autora greckiego Ksenofonta, należących do arcydzieł literatury klasycznej. Śród prac tych jedna nosi tytuł „O ogólnem znaczeniu myślistwa". W r. 1857 wyszło w Poznaniu tłumaczenie tegoż autora klasycznego greckiego p. t. „Cynegotyk czyli łowiectwo". Tłumaczem krakowskim jest dr. Artur Rapaport; poznańskim zaś Antoni Bronikowski.

„Łowiec" Nr. 7 zawiera: Antoni Pisuliński: Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych (dok.).— Jerzy Potocki: Łowy w Dawidgródku, luty 1930.— Mieczysław Mniszek Tchorznicki: Utracone szczęście, feljeton (c. d.). Janusz Domaniewski: Uwagi o „Słowniczku nazw zwierzyny". — Gen. Walery Maryański: Amunicja krajowa. — Mozaika dzicza: Hieronim Tarnowski: Zepsuty dublet. — Korespondencje. — Sprawy Towarzystwa.

„Łowiec" Nr. 8 zawiera: Aleksander Przedrzymirski: Po śladach legendy. — Albert Mniszek: Historja jeleniego wieńca (dok.). — Dr. W. B.: W obronie jelenia w Karpatach. — Kazimierz Marmoross: Wspomnienia z polowania na wilki w Krakowie. — Gen. Walery Maryański: Amunicja krajowa (c. d.). — Korespondencje. — Ś. p. Władysław Czerniejewski. — Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie: O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej (dok.). — Sprawy Towarzystwa. — Komunikat. — Sprostowanie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

— **Wysokość podatku.** — Czy Wydział Samorządowy (Sejmik) ma prawo pobierać od każdej sztuki broni myśliwskiej, czy krótkiej, po 13 zł. tytułem podatku i czy urząd gminny powinien pobierać podatek od prawa polowania z całego, posiadanego przez danego osobnika terenu, czy też tylko z terenu w danym roku opolowanym i w jakiej wysokości z hektara? — inż. agr. **J. Strzyżewski.**

Odp. — Zgodnie z wyrokiem Najwyższego Trybunału Administracyjnego z dnia 3 grudnia 1929 r. Nr. 1515 podatek od broni myśliwskiej jako przedmiotu zbytku nie może być pobierany od osób, które są właścicielami względnie dzierżawcami terenów łowieckich. Podatek od wykonywania polowania na zasadzie art. 19 ustawy o tymcz. uregulowaniu finansów komunalnych może być pobierany, przytem w maksymalnej wysokości 10 gr. od hektara, ponieważ województwo kieleckie, zgodnie z § 13 rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dn. 18.III 1924 r. (Dz. U. R. P. Nr. 31 poz. 31) jest zaliczone do drugiej strefy podatkowej. — **W. W. G.**

Sprostowanie. Podpis pod ilustracją na czele numeru 15 — 16 należy uzupełnić słowami: „Fot. Aleks. Janta-Połczyński".

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. **Numer ozdobny** 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobode czynienia z nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

Trudne strzelanie.

— Słyszałeś, Franek? To ci historja! Mają podobno strzelać do księżyca.

— A juści słyszałem... To mnie ino ciekawi, kto tam pojedzie ustawić tarczę i będzie sprawdzać strzały.

Pomiędzy myśliwymi.

Stary nemrod, siedząc wśród młodych myśliwych, opowiadał barwną łaciną myśliwską o swoich przygodach łowieckich.

— To pan musiał być zapalonym myśliwym — wtrąca jeden z młodszych towarzyszy z pod sztandaru św. Huberta.

— O panie! — odpowiada stary nemrod — ja jeszcze dzisiaj, gdy strzelbę wezmę do ręki, to się tak zapalam, że strzelałbym do własnego ojca, gdyby miał rogi. —.Z.

Na nagance.

Przygodny myśliwy, a wygodny z powodu otyłości, podczas całej naganki strasznie pudłował. W przedostatnim kotle złożył się do bardzo ciężko rannego kota, który usiadł tuż przed nim zaledwie o kilka kroków, aby go dobić.

Obok idący, 17-letni naganiacz woła do przygodnego strzelca: Panie! Panie! Niech pan nie strzela, bo zając ucieknie, ja go lepiej kijem dobiję. —.Z.

O bociany.

— Na przyszłej lekcji, moi chłopcy, opowiem wam o bocianach — mówi nauczyciel zoologji.

— Bujać to my, — odzywa się mały Józio — ja przecież wiem; niema wcale żadnych bocianów.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.